

Od kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w katalogu, wiedział, że musi ją mieć. Teraz, gdy spoglądał na nią przez pleksiglasową szybę sklepu firmowego Finest Enhancements Dealers, wydawała mu się jeszcze piękniejsza. Pokrywający ją chrom lśnił w promieniach porannego słońca. Wysunięty na zewnątrz karabinek kalibru 12,7 mm sprawiał wrażenie, jakby mógł przestrzelić pancerz wojskowego APC-ka. Zaciśnięta w pięść dłoń była w stanie przebić mur o grubości dziewięciu cali. Z katalogu Ryan wiedział, że zawierała w sobie jeszcze laser do cięcia metalu, cienką, niemal niewidoczną strunę, którą można było wykorzystać w charakterze broni lub pułapki czy najnowszy soft do zbliżeniowego hackowania urządzeń elektrycznych.

— Kutaragi 12 — usłyszał obok siebie znajomy głos. — Musieli ją dzisiaj przywieźć, wczoraj jej nie widziałem.

— Nie było jej tu wczoraj — stwierdził z całą pewnością Ryan, po czym przywitał się z Joshem.

— Myślisz, że Goliat Johnson już się upgrade'ował?

— Goliat testuje dla nich ten sprzęt. Ma go pewnie od kilku tygodni.

— Daj spokój, rozmawialiśmy o tym wiele razy. Żadne korpo nie może być kojarzone z runnerem. Zwłaszcza z takim, który stawał naprzeciwko nich.

— Tak, masz rację, rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Tym bardziej więc nie rozumiem, dlaczego wciąż przytaczasz te same argumenty. Kiedy Goliat ostatnim razem napadł na ich transport lub zrobił cokolwiek wbrew ich interesom?

Josh westchnął.

— Dobrze półtora roku temu. Ale to o niczym nie świadczy.

— A z których wszczepów korzysta najchętniej? — Ryan uśmiechnął się delikatnie. Uwielbiał być górą w podobnych sporach, a teraz czuł, że znów nadchodzi ta chwila. Zresztą nie mogło być inaczej. O Goliacie Johnsonie wiedział wszystko. No, może nie wszystko, ale na pewno najwięcej spośród osób, które nie zaliczały się do kręgu znajomych legendarnego runnera.

— FED-u. Ale używa też sprzętu START-u czy Czerwonej Tarczy, więc to o niczym nie świadczy.

— Tak, jasne, powtarzaj to sobie.

— Skoro testuje dla nich wszczepy, to dlaczego w tym skoku sprzed trzech dni używał starej wersji tej ręki? — Josh wskazał na wystawę.

— Masz jakieś zdjęcia z ostatniego skoku Goliata? — spytał nagle podekscytowany Ryan.

— Mam — stwierdził z triumfem wymalowanym na twarzy jego rozmówca. — Ale pokażę je dopiero wieczorem u Gene'a.

— Pokaż chociaż jedno. — Ryan złożył ręce w błagalnym geście.

— To wyjaśnij mi, dlaczego Goliat korzystał z Kutaragi 11 zamiast 12.

— Po pierwsze, bez obejrzenia fotek ci nie uwierzę, że używał starej wersji. Po drugie, nawet jeśli zobaczyłbym na nich jedenastkę, prawdopodobnie oznaczałoby to, że miał wgrany soft, który zmienia zdjęcia, które mu się robi. To standard w prototypach największych korporacji.

— Według ciebie.

— Przecież wiesz, że tak jest. Właśnie na wypadek, gdyby podczas skoku ktoś sfotografował nowy model wszczepu. Jak inaczej korporacje miałyby się bronić przed skojarzeniem ich prototypów z runnerami?

— Tylko że ten soft nie działa na urządzenia wyprodukowane przed '56. A dla korposów to żaden problem sprawić sobie starsze lub zbudować nowe w oparciu o starą technologię.

— A kto wie, gdzie uderzy Goliat? Musieliby rozdać te stare aparaty w całym mieście.

— Niekoniecznie. Mogliby go zatrudnić na jakiś skok. Wiedząc, gdzie by się pojawił, ustawiliby aparaty i zrobili tyle zdjęć, ile by chcieli.

— Bo Goliat to idiota i na pewno na zlecenie od START-u założyłby prototyp FED-u — zauważył ironicznie Ryan.

Josh opuścił wzrok, wyraźnie niezadowolony. Znów przegrał dyskusję o Goliata.

— To jak? Pokażesz chociaż jedno zdjęcie? — podjął Ryan.

— Nie.

— Bo znów przegrałeś spór o Goliata? Daj spokój, jeśli o to chodzi, to nikt poza samym Goliatem ze mną nie wygra.

— Nie o to chodzi. Po prostu nie mam ich przy sobie. Ściągnąłem zaszyfrowane i dopiero odkodowują się u mnie w domu.

— Ale jakies zdjęcia już widziałeś, tak? Powiedz, zmienił nogi na Miyamoto?

— Nie wiem, przecież każdy wszczep może mieć soft, który zmienia jego wygląd na zdjęciach — przypomniał kąśliwie Josh.

— Ale po co miałby to robić ze sprzętem powszechnie dostępnym na rynku? — spytał Ryan, wpatrując się w nagle zadowolone oblicze przyjaciela. — Drocysz się ze mną. — Zrozumiał od razu.

— Pewnie. — Josh uśmiechnął się szeroko. Po chwili stwierdził: — Muszę lecieć. Pokażę wam fotki dziś u Gene'a. Będziesz, prawda?

— O ile Lucas nie zatrzyma mnie w sklepie. — Spojrzał w kierunku pobliskiego pasażu, przy którym mieścił się *Tani chrom*.

— Więc się nie dowiesz — stwierdził, szczerząc się Josh. — To na razie. — Obrócił się na pięcie i jakby nigdy nic, zaczął się oddalać.

— Serio!? — zawołał za nim Ryan. — Serio zamierzasz mnie zostawić w takim suspensie!?

Josh, nie odwracając się, uniósł tylko prawą dłoń w geście pożegnania.

— Zapamiętam to, kiedy następnym razem będziesz chciał, żebym się włamał do wytwórni twoich ulubionych pornoli z Candy.

Przyjaciel bez słowa podążył naprzód. Zanim skręcił za róg, odwrócił się jednak na chwilę i krzyknął:

— Cały czas korzysta z tych samych nóg!

Ryan pozdrowił go gestem dłoni.

— Dzięki — wyszeptał, gdy przyjaciel zniknął już za oszklonym budynkiem.

Jeszcze raz spojrzął na najnowszy wszczep FED-u. „Kiedyś będzie mój — pomyślał. — Kiedyś rzucę tę gównianą robotę u Lucasa i zostanę prawdziwym runnerem”. Odkładał na ten cel pieniądze już od trzech lat. Jeszcze dwa, góra trzy i stać go będzie na pierwsze poważne ulepszenia. Zacznie wtedy zarabiać prawdziwe pieniądze, obracać się w towarzystwie najlepszych runnerów i wyprowadzi się od matki i ojczyma. Przestanie być nerdem, ślęczącym nad deckami, a zostanie budzącym postrach i szacunek królem miasta, z którym każdy będzie się musiał liczyć.

By to osiągnąć, był gotowy na wszelkie poświęcenia. Nawet wymianę swoich zdrowych kończyn czy oczu na ich cybernetyczne odpowiedniki. „Przecież nawet najlepsi runnerzy odnoszą rany — powtarzał sobie. — Wszczepy trzeba będzie sobie sprawić prędzej czy później. Dlaczego więc nie wymienić narządów, gdy są jeszcze zdrowe?”

Stał przed wystawą jeszcze kilka minut, ale zauważywszy wzmożony ruch przechodniów, opuścił wzrok i skierował się ku porośniętemu palmami pasażowi między ulicami Morgana i Rockefellera. Mijał otwierające się sklepy, patrzył na martwe o tej porze dnia kolorowe neony, mając nadzieję, że Lucas wypuści go, zanim zapłoną cyjanem i fuksją. Uwielbiał te kolory, uwielbiał ten pasaż i jego unikalny klimat od kiedy zawitał tu po raz pierwszy jako czterolatek, trzynaście lat temu, ale dziś spieszył się do Gene'a. Bo jeśli coś sprawiało mu większą przyjemność niż chłonięcie atmosfery Pasażu Warburga, było to na pewno oglądanie w akcji Goliata Johnsona.

Rolety *Taniego chromu* były podniesione, a drzwi otwarte. Widząc na wystawie Kutaragi 6, Ryan uśmiechnął się pobłaźliwie. Wszedł do sklepu.

— Nareszcie jesteś — powitał go z właściwym sobie niezadowoleniem Lucas, pięćdziesięciokilkuletni, łysiejący Latynos o powiększającym się z miesiąca na miesiąc brzuchu.

Ryan spojrzął na zawieszony nad przejściem na zaplecze zegar. 9:00:54.

— Przecież się nie spóźniłem.

— Nie pyskuj, tylko szykuj się do zabiegu. Za dziesięć minut masz pierwszego klienta.

Ryan bez słowa pomaszerował za kotarę niebieskich szklanych koralików. Nie było sensu klócić się z szefem. Znow potrafiłby mu z wypłaty albo na złość kazać zostać dłużej w lokalu. A tak wykona wszystkie zabiegi najszybciej jak się da i zdąży do Gene'a na osiemnastą. Włączył stary, zmodyfikowany przez siebie deck i zasiadł na stanowisku obok fotelu zabiegowego. Zabiegami nazywali znoszenie cyfrowych ograniczeń na korzystanie ze wszczepów. Mimo że mechanicznie stare ulepszenia były często lepsze od tych nowych, przynajmniej jeśli chodzi o trwałość, to wszystkie tego typu produkty posiadały cyfrową datę przydatności, po przekroczeniu której implant po prostu przestawał działać. Ryan, korzystając ze swoich hackerskich umiejętności, obchodził zabezpieczenia producentów i wydłużał życie ulepszeń.

Teoretycznie mógł je znosić całkowicie, pozwalając, by wszczepy działały do czasu, aż nie popsują się mechanicznie. Lucas nakazał mu jednak wydłużać ich przydatność jedynie o pół roku, zapewniając *Taniemu chromowi* regularny napływ klientów. Gdyby nie to, sklep prawdopodobnie nie utrzymałby się na rynku z mechanicznych napraw oraz sprzedaży przecenionych, przestarzałych ulepszeń.

Stary oszust nie wiedział jednak, że sam jest kantowany. Ryan przekonywał go, że każdy zabieg wymaga indywidualnego podejścia. W rzeczywistości jednak już dawno opracował programy dla każdego wszczepu, z jakim miał do czynienia. Siadał tylko na swoim stanowisku, podłączał klienta do sklepowego decku i wciskał jeden przycisk, a stworzone wcześniej cyfrowe narzędzia wykonywały za niego całą pracę. Ryan nawet specjalnie nie zabezpieczał przed szefem swych programów, wiedząc, iż ten zupełnie się na tych sprawach nie zna — choć trzeba mu oddać, że jeśli chodziło o mechaniczne zasady działania wszczepów, był jednym z lepszych specjalistów w Mieście Aniołów.

Co więcej, od czasu do czasu podbierał *Taniemu chromowi* klientów, wgrywając w ich wszczepy soft informujący, iż za niewiele więcej niż płacą Lucasowi, on osobiście może przedłużyć działanie ich wszczepów o rok lub dłużej. Do tej pory zdobył tak już kilkanaście nowych kontaktów. Lucas chyba nic nie podejrzewał, wszak nie wszyscy klienci wracali do *Taniego chromu*, część mogła przecież kupić nowe ulepszenia.

Czasami dla gloryfikowania swych umiejętności i przekonywania klientów, iż wykonuje wysoce wyspecjalizowaną pracę, zakładał na czas zabiegu neurogogle, twierdząc, że musi osobiście wejrzeć w cyberprzestrzeń danego wszczepu. W rzeczywistości oglądał wtedy katalogi nowych ulepszeń czy wykradzione dla Josha filmy z Candy lub treningowo włamywał się do większych lub mniejszych instytucji. Jedną z nich była na przykład szkoła publiczna

w Pasadenie, do której oficjalnie uczęszczał, a gdzie nigdy nawet nie był. Mimo iż edukację zakończył dwa lata temu, gdy wywalono go z ogólniaka w LA, i nie uważał, aby szkoła pomogła mu zostać runnerem lub w jakikolwiek sposób rozwinęła jego hackerskie umiejętności, to wydawało mu się, że posiadanie świadectwa jej ukończenia może mu się kiedyś przydać. I nie chodziło o pracę lub szansę pójścia na studia (zwłaszcza to drugie wydawało mu się głupotą; kto chciałby skończyć w tych korpołagach w centrum miasta?), ale o zwykłe prawo do bycia nielekceważonym i niepogardzanym w niektórych kręgach.

Dochodziło już południe i właśnie poprawiał w szkolnym systemie swoje nieobecności, gdy na zaplecze z niewesołą miną zawitał Lucas. Ryan zobaczył go w malutkim okienku po lewej stronie gogli.

— Już kończę — oznajmił, spoglądając na pasek postępu stworzonego przez siebie programu. — Przeprowadzam jeszcze diagnostykę nogi pana Miguela. Pomyślałem, że jako stałemu klientowi, należy mu się od nas jakiś podarek lojalnościowy.

Lucas oczywiście wiedział, że to kit wymyślony dla klienta, więc odparł:

— To bardzo dobry pomysł. W *Tanim chromie* zawsze dbamy o stałych klientów. — Starł się uśmiechnąć, ale na jego twarzy wykwitł jakiś niewyraźny grymas. Gdy Ryan zdjął gogle, zauważył, że szef poci się bardziej niż zwykle. Klimatyzacja w lokalu czasem nawalała, ale tego dnia działała bez zarzutu, musiał więc istnieć jakiś inny powód pojawienia się na jego czole perlących się w słabym świetle zaplecza kropel. — Masz specjalnego gościa.

— Ja? — zdziwił się Ryan. Do tej pory nikt nie odwiedzał go w miejscu pracy. Przynajmniej nie fizycznie, bo w cyberprzestrzeni często kontaktował się ze znajomymi.

— Yhm — mruknął Lucas, nie wyjaśniając, kto jest tym gościem.

Chwilę trwali w niezręcznej ciszy, oczekując na koniec zabiegu. Wreszcie Ryan rzekł:

— To wszystko, dziękuję, panie Miguel. Soft w nodze zaczął się psuć, ale poprawiłem co trzeba i jest jak nowy. Zapraszam za pół roku.

— Dziękuję. — Zadowolony klient zszedł z dentystycznego fotela, który Lucas znalazł kiedyś na wysypisku śmieci i odnowił, i z cichym skrzypieniem amortyzatorów cybernetycznej piszczele ruszył ku części handlowej sklepu. — Do widzenia.

— Odprowadzę pana — zaoferował się Lucas, odchylając paciorki kotary.

Wkrótce Ryan usłyszał przekręcanie zamka w drzwiach frontowych lokalu. Widać szef postanowił dać jemu i jego gościowi trochę prywatności. Ale dlaczego? Przecież normalnie nie pozwalał na podobne spotkania w godzinach pracy.

Zagadka wyjaśniła się, jak tylko nieoczekiwany przybysz wszedł na zaplecze. Schylił się nisko pod szklaną kotarą i dopiero gdy wyprostował się ponownie, Ryan zauważył, że musiał mieć ponad siedem stóp wzrostu. Z krótkich rękawów jego koszulki wystawały chromowane wszczepy rąk — Kutaragi 10 z prawej, Yokoi 3 z lewej. Czerwony kolor tęczówki lewego oka mężczyzny pozwalał przypuszczać, że tam również nosił cyberulepszenie — biorąc pod uwagę koszt rąk, zapewne było to coś z drogiej serii Hirai.

— Ty jesteś Ryan? — spytał grubym, spokojnym głosem.

— Aha — odparł chłopak, przetykając ślinę i zadzierając głowę do góry, by spojrzeć olbrzymowi w oczy.

— Podobno znasz się na deckach.

— Aha.

— I podobno chcesz zostać runnerem.

— To moje marzenie — ożywił się Ryan. — Ale skąd o tym...?

— My dużo wiemy. — Twarz mężczyzny pozostawała niewzruszona. — Twoja praca przyciągnęła naszą uwagę.

— Naszą? — przez chwilę Ryan się zaniepokoił. Przecież potrafił zacierać po sobie ślady. Czyżby jednak gdzieś popełnił błąd? Czyżby nieopatrznie zaszedł za skórę komuś potężnemu? — To znaczy czyją? — spytał niepewnie.

— Szefa poznasz dziś wieczorem. I nie bój się, gdybym chciał ci zrobić krzywdę, nie przychodziłbym do sklepu, a załatwił cię gdzieś na ulicy.

Mimo że Ryan starał się maskować podenerwowanie najlepiej jak potrafił, to wyraźnie odetchnął z ulgą.

— Poznam szefa? Czyli chcecie mi zaoferować jakąś pracę?

— Nie jakąś, ale poważny skok. Potrzebujemy dobrego deckera do wykradzenia pewnych danych. Myślisz, że się nadasz?

— Oczywiście. Gdybyście tylko wiedzieli, gdzie się włamywałem...

— Wiemy — stwierdził zimno gigant.

Ryan znów głośno przełknął ślinę.

— Przyjadę po ciebie po pracy. Nie oddalaj się za bardzo od pasażu.

— Dobra, będę czekał — zapewnił chłopak.

Przybysz obrócił się na pięcie i skierował ku kotarze.

— A czy...? — zaczął nieśmiało Ryan. — A czy będę pracował z Goliatem Johnsonem?

— Wszystkiego dowiesz się wieczorem — odparł gość, nie odwracając się.

Po chwili Ryan usłyszał otwieranie frontowych drzwi. Kilka sekund później na zaplecze zawitał Lucas.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Tak, jak najlepszym.

— Czego chciał ten facet?

— Znasz go? Wiesz, dla kogo pracuje?

Szef pokręcił głową.

— W takim razie nie mogę ci powiedzieć — stwierdził konfidencjonalnym tonem Ryan, dumny, iż być może pozna Goliata Johnsona (przecież olbrzym nie zaprzeczył, że będzie z nim współpracował, prawda?).

Lucas otarł pot z czoła.

— Następny zabieg masz dopiero za pół godziny. Jak chcesz, możesz wyjść coś zjeść.

Szef nigdy nie był dla niego taki miły. Widać zaczynał czuć do niego respekt po wizycie nieznanego osiłka.

— Tak, tak zrobię — rzekł z pewnością zarezerwowaną tylko dla prezesów największych światowych korporacji. Pewnością, spod której wycierał jednak entuzjazm i młodzieńcza naiwność chłopaka, który właśnie umówił się na pierwszą w swoim życiu randkę. — Pójdę do Fabia na placek.

Powoli, rozkoszując się każdą chwilą, podczas której wydawało mu się, że szef patrzy na niego z szacunkiem, wyszedł ze sklepu. Południowe słońce piekło jak zwykle, ruch na pasażu był spory. Liście palm delikatnie poruszały się na wietrze. Zadowolony z siebie, wyciągnął telefon i zadzwonił do Josha.

— Co tam? Tylko nie mów, że Lucas kazał ci zostać dłużej — przywitał go jak zwykle zrelaksowany przyjaciel. W tle za jego głową na ekranie urządzenia Ryan zauważył szatnię. Prawdopodobnie miał przerwę w pracy i jadł lunch (lub znów schował się w szatni przed robotą).

— A ty co? Znowu uciekasz przed szefem?

— Przerwę mam. — Josh pokazał mu trzymaną w drugiej dłoni kanapkę. — Teraz jak muszę imiennie oznaczać każdy ładunek, nie ma jak się schować. — Josh pracował w magazynie z ubraniami, elektroniką i wszystkim, co tylko dało się wepchnąć do gigantycznego kompleksu niedaleko dzielnicy handlowej.

— Czyli jest tam też Zeke?

— Jestem, jestem. — Ryan usłyszał cichy głos, dochodzący chyba z toalety.

— To świetnie. Muszę wam powiedzieć, że nie dam rady dzisiaj odwiedzić Gene'a.

— Nie widzę, co w tym świetnego — stwierdził Josh. — Wydawało mi się, że chciałeś zobaczyć nowe zdjęcia Goliata.

Ryan obejrzał się po otaczających go przechodniach, po czym ściszone głosem rzekł:

— Może niedługo spotkam go osobiście.

— Co on mówi? — spytał z pogłosem Zeke.

— Właśnie, co ty opowiadasz? Jak to spotkasz Goliata?

— Spotka Goliata? — wtrącił się Zeke.

— Tak mówi — wyjaśnił Josh. — Ale dzisiaj? Co tam się u ciebie dzieje?

— Nie mogę zdradzać szczegółów, ale jak spotkamy się następnym razem, będę miał dla was taką bombę, że z wrażenia z dmuchanej lali Zeke'a zejdzie powietrze.

— Nie mam żadnej dmuchanej lalki — oburzył się w tle głos Zeke'a.

— Zeke mówi, że już nie ma tej dmuchanej lali — oznajmił Josh.

— Wcale tak nie powiedziałem!

— Dobra, dobra, to tylko takie żarty. Przecież wszyscy wiemy, że przerzuciłeś się na inne zabawki — uśmiechnął się Ryan.

— Poczekajcie tylko, jak zejdę z klopa — odgrażał się Zeke. — Głowy się potoczą!

— Na szczęście moja jest daleko — stwierdził zadowolony Ryan. — Dobra, obiboki, muszę kończyć. Chciałem wam dać tylko znać, że dzisiaj się mnie nie spodziewajcie, ale jutro będę miał dla was ciekawe wieści. Wasz chłopak pnie się w górę w tym świecie.

— Nie no, teraz to już musisz coś więcej zdradzić — próbował przekonywać Josh.

Ryan pomachał mu tylko, tak jak on jemu rano.

— Zapamiętam to, jak będziesz chciał obejrzeć zdjęcia Goliata — straszyl żartobliwie Josh, ale Ryan przerwał połączenie.

„To im na razie wystarczy — pomyślał zadowolony. Jego myśli błyskawicznie pobiegły w kierunku tajemniczego szefa jego dzisiejszego gościa. — Ciekawe, ile mi zapłacą za tę robotę? Może kupię sobie jakieś ulepszenie. A może sprawię się tak dobrze, że dostanę kolejne zlecenia. To może być początek mojej wspaniałej kariery”.

Podeksytowany, nie był w stanie myśleć o niczym innym. Nie zauważył nawet, że w pizzerii, do której udał się na lunch, podali mu sos czosnkowy zamiast pomidorowego, ani że zjadł nie lubiany przez siebie placek z owocami morza. Nigdy też nie dowiedział się, że policzyli za niego dwa razy więcej niż powinni.

Droga Michelle

Wiem, że nie odzywałam się siedemnaście lat i mogłaś pomyśleć, że o tobie zapomniałam lub że żywię do ciebie jakąś urazę z powodu tego, co się stało po balu maturalnym, jednak wcale tak nie było. Śledziłam twoją karierę w dziennikach i stacjach telewizyjnych Waszyngtonu. Z dumą patrzyłam na zdjęcia z gali, na której odebrałaś nagrodę dla najlepszego dziennikarza w Seattle cztery lata temu. Nigdy też nie obwinałam cię o to, co się stało tamtej nocy, o czym cię zresztą zapewniałam wiele razy.

Musiałam jednak wyjechać, zerwać nasz kontakt. Nie chcę, byś odebrała to co napiszę jako tanią próbę przypodobania ci się — zwłaszcza w kontekście tego, o co chcę cię poprosić — ale po części zrobiłam to dla ciebie. Byś nie musiała się zadreżać i codziennie sprawdzać, jak się czuję i czy czegoś nie potrzebuję — nie zaprzeczaj, że tak nie było — byś mogła żyć swoim życiem bez cienia przeszłości wiszącego nad tobą.

Nie chodziło oczywiście tylko o ciebie. Ja sama potrzebowałam zacząć wszystko w nowym miejscu, gdzieś, gdzie nikt mnie nie znał, gdzie nie patrzyli na mnie przez pryzmat minionych wydarzeń.

Zamierzałam się do ciebie odezwać po kilku latach. Dlaczego więc tego nie zrobiłam? - spytasz. Z jednej strony wstydziłam się: gdy twoje reportaże pojawiały się w telewizjach na całym zachodnim wybrzeżu, ja pracowałam na kasie w supermarkecie; gdy twoja praca zbierała pochwały w mediach, ja szukałam dachu nad głową. Z drugiej zaś obawiałam się, czy jeszcze będziesz chciała ze mną rozmawiać — przecież to ja tak nagle urwałam naszą przyjaźń. Tak właśnie z planowanych pięciu lat zrobiło się sześć, siedem, a potem dziesięć i siedemnaście.

I kto wie, czy kiedykolwiek zdobyłabym się na odwagę napisania do ciebie, gdybym nie wpakowała się w pewną dziwną, coraz bardziej niepokojącą mnie sprawę. Michelle, potrzebuję twojej pomocy. Obawiam się, że sama nie zdołam się z tego wykaraskać, a tylko ktoś z twoimi wpływami i reputacją może mi pomóc. Nie chcę cię również obrazić, ale czuję, że muszę to napisać: jeśli wzgląd na dawne czasy to za mało, by cię przekonać do podróży na południe, obiecuję, że twoja kariera bardzo na tym zyska.

*Twoja przyjaciółka,
Monica*

Michelle patrzyła na trzymany w chromowanej dłoni list, który czytała już kilkadziesiąt razy. „Monico, pomogłabym ci nawet gdybym musiała tu lecieć z drugiego końca świata. I nawet gdyby moja kariera miała na tym ucierpieć”. Spojrzała na adres zwrotny na kopercie i przez brudną boczną szybę samochodu porównała go z tabliczką na białym, trzypiętrowym budynku. „To tutaj. Mam nadzieję, Monico, że zastanę cię w domu”. Schowała list do koperty, którą włożyła do kieszeni lekkiej, przewiewnej bluzy z kapturem. Sięgnęła do uchwyty otwierającego drzwi. Zanim zdołała go dotknąć, jej lewą rękę przeszył znany dokuczliwy ból. Otworzyła schowek na rękawiczki i wyjęła z niego tabletki przeciwbólowe w plastikowej

butelecze. Jedną włożyła do ust, popiła wodą z butelki, po czym przezornie włożyła naczynie do kieszeni bluzy. Zamknąwszy schowek, wyszła na ulicę.

Monica mieszkała w jednej z dzielnic na północy Los Angeles, typowych dla szeroko rozumianej klasy średniej. Kamienica, jedna z tych budowanych naprędce niskim kosztem, nie miała żadnych wygód, była jednak zadbana — świeża farba lśniła w promieniach południowego słońca, w doniczkach przy wejściu prężyły się świeżo podlane kwiaty, a chodnik był najczystszy w całej okolicy.

Michelle weszła do budynku. Zerknęła na skrzynki na listy. „Dwadzieścia cztery mieszkania. Monica mieszka pod dwudziestym drugim. Trzecie piętro”. Ból w ręce zaczął ustawać. Pewnym krokiem weszła na betonowe schody, a nimi na samą górę. Odnalazła drzwi z numerem dwudziestym drugim. Zadzwoiła. Nikt nie otwierał, nie usłyszała też żadnego ruchu za drzwiami. Zadzwoiła ponownie, a potem jeszcze zapukała. Nadal nic. „Prawdopodobnie jest w pracy. Pewnie wróci dopiero za kilka godzin”.

Na schodach rozległy się powolne kroki. Jakaś czterdziestokilkuletnia kobieta o rozczochranej rudej czuprynie wchodziła z zakupami na trzecie piętro. Obrzuciwszy Michelle podejrzliwym spojrzeniem, podeszła do drzwi mieszkania numer dwadzieścia, obok lokum Moniki.

— Przepraszam — zagadnęła Michelle, korzystając z okazji, że kobieta szukała kluczy w foliowych torbach — nie wie pani może, o której zwykle wraca Monica Morris?

— A pani co do tego? — odparła kobieta napastliwym tonem.

— Przepraszam, nie przedstawiłam się. Nazywam się Michelle Madison. — Liczyła, że nazwisko znanej — w ostatnich latach może nieco mniej, ale jednak — dziennikarki otworzy kobiecie usta. Ponieważ ta najwyraźniej jej nie rozpoznała lub o niej nie słyszała, zaraz dodała: — Jestem przyjaciółką Moniki.

— Przyjaciółką? Nie widziałam tu pani wcześniej. — Chyba natrafiła na klucze, bo coś zabrzączało w jej schowanej w torbie dłoni.

— Nigdy tutaj nie byłam — pospieszyła z wyjaśnieniem Michelle. — Nie widziałyśmy się z Monicą ładnych kilka lat. Napisała do mnie. Mogę pani pokazać list, jeśli pani nie wierzy.

Kobieta machnęła ręką.

— Nie trzeba. A ta Morris różnie wraca. Czasem w środku nocy, czasem nad ranem, kiedy indziej znowu w południe czy po południu.

— A nie widziała pani, o której wychodziła dzisiaj?

— Nie.

— A kiedy widziała ją pani ostatni raz?

— Jakieś dwa, może trzy dni temu. Wróciła wtedy nad ranem.

— Rozumiem. Dziękuję pani.

Ruda otworzyła drzwi i zniknęła w swoich pieleszach.

Michelle stała chwilę na korytarzu, zastanawiając się nad dalszymi krokami. „Pójdę coś zjeść, a potem wrócę — postanowiła. — Jeśli Moniki jeszcze nie będzie, zaczekam w samochodzie do jej powrotu”. Postąpiła krok w kierunku schodów, gdy w holu otworzyły się drzwi mieszkania numer dwadzieścia trzy, naprzeciwko apartamentu Moniki.

— Jest pani przyjaciółką Moniki? — spytała niespełna trzydziestoletnia blondynka, wyglądając nieśmiało zza drzwi.

— Tak, znamy się od szkoły podstawowej.

— Od czasów w Waszyngtonie?

— O, widzę, że Monica się pani zwierzała.

— Zwierzała to za duże słowo. Ale rozmawiamy czasem.

— Jestem Michelle. — Michelle wyciągnęła rękę, uśmiechając się przyjaźnie.

— Stephanie. — Blondynka uściśnięła ją słabymi, nawet jak na kobietę, palcami.

— Nie wiesz, o której mogę się spodziewać jej powrotu?

— Monica zawsze przychodzi o różnych porach. Narzekała nawet na te godziny pracy kilka razy. Normalnie powiedziałabym, że do wieczora powinna się pojawić... — blondynka zawiesiła głos.

— *Normalnie?* — Michelle zaczęła się niepokoić.

— Czasami bywa, że nie widzę, jak wraca, więc może się myłę.

— Stephanie, Monica wysłała do mnie list — Michelle pokazała kobiecie kopertę — w którym prosi mnie o pomoc. Twierdzi, że wpakowała się w coś, z czego nie jest w stanie sama wybrnąć. Może mieć kłopoty, więc jeśli wiesz coś...

— Nie widziałam jej od dwóch dni — wypaliła blondynka. — Czasami wyjeżdżała co prawda na weekend, ale mamy przecież wtorek. Zresztą w takich wypadkach zawsze mnie o tym informowała, bym podlała jej kwiaty.

— Czyli zostawiała ci klucze do mieszkania? A tym razem nie zostawiła?

— Kilka miesięcy temu dorobiła mi jeden z kluczy. Kiedy wyjeżdżała, zamykała drzwi tylko na ten jeden klucz.

Oczy Michelle błysnęły nadzieją.

— Mogłybyśmy spróbować otworzyć jej drzwi?

Blondynka uciekła wzrokiem w podłogę.

— Monica zaufała mi. Nie wiem, czy powinnam...

— Stephanie — Michelle ponownie wyjęła kopertę, lecz tym razem wydobyła z niej również list i pokazała blondynce część, w którym przyjaciółka prosiła ją o pomoc — Monica może być w niebezpieczeństwie. Jeśli nie pojawiła się w mieszkaniu od dwóch dni, coś mogło jej się stać.

Kobieta przebiegła wzrokiem kilka zdań listu, ale nie wydawała się przekonana do współpracy.

— W porządku, rozumiem. Nie ufasz mi. W sumie każdy mógłby napisać taki list i twierdzić, że dostał go od Moniki. Zerknij więc na to. — Wyjęła z kieszeni džinsów swoją legitymację prasową. Jestem dziennikarką. Michelle Madison, możesz mnie sprawdzić w sieci. Nie jestem żadną oszustką.

Sąsiadka Moniki wahała się chwilę, ale w końcu poszła po telefon. Wróciwszy, przyglądała się zdjęciom Michelle znalezionym w internecie i porównywała je z rzeczywistością.

— W porządku — stwierdziła po dłuższych oględzinach. — Ale jeśli Monica użyła też innych kluczy, to i tak nie dostaniemy się do środka.

Schowowała telefon do kieszeni spodni i poszła po klucz. Wyszła na korytarz, podeszła do drzwi apartamentu numer dwadzieścia dwa i wsunęła klucz do zamka. Otworzył się z cichym kliknięciem. Nacisnęła na klamkę... Drzwi stanęły otworem.

— Otwarte — zdziwiła się.

— A Monica zwykle korzystała też z innych zamków? — spytała Michelle, przyglądając się dwóm pozostałym mechanizmom. Żaden z nich nie wydawał się uszkodzony.

— Nie wiem. Nie próbowałam otwierać jej drzwi poza dniami, kiedy podlewałam jej kwiaty — rzekła z wyraźnym oburzeniem Stephanie.

— Oczywiście, przepraszam. Nie to chciałam zasugerować. Może czasami otwierała przy tobie drzwi, kiedy rozmawialiście na korytarzu. Może zapamiętałaś, czy używała innych kluczy.

Blondynka wydawała się ukontentowana tym wyjaśnieniem.

— Nie, przykro mi. Nie przypominam sobie.

— W porządku. To i tak nieważne. — „Czy Monica przeczuwała, że coś mogło jej się stać? Czy zamknęła drzwi tylko na jeden zamek, bym mogła wejść do środka, gdybym jej szukała?” — Wejdziemy?

— Chwileczkę. — Stephanie zamknęła własne drzwi na klucz. — Teraz.

Weszły do gustownie urządzonego, pachnącego lawendą salonu. Przywitały je wygodne sofy, wielkie panoramy północnego zachodu przyjemnie kontrastujące z ciemnymi ścianami oraz nowoczesne instalacje światła pod sufitem — porządek i harmonia. „Widać minęło sporo czasu, od kiedy Monica pracowała na kasie w supermarkecie” — pomyślała Michelle, przyglądając się drogim meblom.

Stephanie zamknęła drzwi, uważnie obserwując każdy jej ruch.

— Bardzo tu czysto. Monica zwykle była bałaganiarą — uśmiechnęła się Michelle.

— To pokój dzienny. Sypialnia wygląda inaczej — oblicze sąsiadki rozjaśniło się szczerym uśmiechem.

Przeszły krótkim korytarzykiem do kuchni. Pomieszczenie wydawało się zbyt czyste, a niewielka liczba przyborów kuchennych mogła świadczyć, iż nie było używane zbyt często.

— Monica gotuje bardzo rzadko, częściej jada na mieście lub zamawia coś do domu — wyjaśniła Stephanie, gdy Michelle zwróciła na to uwagę.

Udały się do sypialni. Na szerokim, niezastłanym łóżku leżało chyba z kilkanaście różnych sukienek, spodni i bluzek. Otwarta garderoba mogła się poszczycić kilkudziesięcioma kolejnymi ubraniami, całą jej podłogę zajmowały zaś pary drogich butów. W wysuniętych szufladach dużej szafy leżała porozrzucana ekskluzywna bielizna. Michelle myślała, że ktoś czegoś tam szukał, ale po bliższych oględzinach doszła do wniosku, że bałagan był zupełnie w stylu Moniki.

— Rzeczywiście niewiele się zmieniła — stwierdziła. Stephanie tym razem się nie uśmiechnęła, obserwowała ją baczным wzrokiem.

Zerknęła pod łóżko, gdzie dostrzegła dwie podróżne walizki. „W garderobie nie ma pustych wieszaków, a torby leżą pod łóżkiem. Monica raczej nigdzie nie wyjechała. Jeśli drzwi nieprzypadkowo zostały zamknięte tylko na klucz, który posiada jej sąsiadka, może to oznaczać, że spodziewała się, iż nie zastanę jej w domu. Może przeczuwała, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo i że nie będzie w stanie mi wyjaśnić, w co się wplątała. Ale czy w takim wypadku nie zostawiłaby dla mnie jakiejś wiadomości? Stephanie o żadnej nie wspominała”.

Nie mogła na oczach wystarczająco już podejrzliwej sąsiadki zacząć przetrząsać rzeczy Moniki. I na szczęście nie musiała. Jeśli przyjaciółka coś dla niej zostawiła, mogła to schować tylko w jednym miejscu.

— Pozostała jeszcze łazienka.

Przeszły do niewielkiego pomieszczenia z sedesem, prysznicem i zlewem. Wzrok Michelle od razu przykuła elektryczna szczoteczka do zębów, stojąca na zlewie. „Teraz jestem niemal pewna, że nigdzie nie wyjechała”. Otworzyła wiszącą nad zlewem szafkę z lekami. „Proszki na bezsenność, przeciwbólowe... A to co?”. Wyjęła z szafki buteleczkę z niebieskimi pastylkami.

— Hazimin? To tabletki o wysoce wyspecjalizowanym działaniu. Zążywa się je tylko w przypadku silnych bólów głowy związanych ze wszczepami. Nie wiedziałam, że Monica miała implant w głowie.

— To nie był taki zwykły wszczep — wyjaśniła Stephanie — ale jakiś specjalny chip behawioralny czy coś takiego.

Na tę nową technologię, dostępną na rynku niecałe półtora roku, mogli sobie pozwolić tylko najlepiej zarabiający maklerzy, bankierzy, terapeuci czy wszelkiej maści negocjatorzy. Skąd wzięłaby go Monica? I dlaczego by go potrzebowała?

— Gdzie właściwie pracowała Monica?

Stephanie wzruszyła ramionami.

— Nigdy mi nie powiedziała. Mówiła tylko, że ciągle pracuje z ludźmi.

Michelle pokiwała głową. Odstawiła buteleczkę do szafki.

— Wiem, że to co teraz zrobię, może ci się wydać dziwne, ale zaraz wszystko wyjaśnię.

— Nie rozumiem. Co zamierzasz...?

Michelle podeszła do sedesu i jednym sprawnym ruchem lewej ręki podważyła pokrywę spłuczki. Chromowana stal zabrzączała na porcelicie. Obejrzała wnętrze mechanizmu i spód pokrywy. Nie znalazłszy tego, czego szukała, złożyła urządzenie z powrotem.

— Za szkolnych czasów chowałyśmy papierosy i inne skarby w takich miejscach — wyjaśniła. — Myślałam, że może Monica zostawiła dla mnie jakąś wiadomość.

— Aha — skostatowała zdziwiona sąsiadka.

Przeszły do salonu. Michelle krótką chwilę przyglądała się wystrojowi, po czym rzekła:

— Nie widziałam nigdzie żadnych zdjęć. W łazience znajdowała się tylko jedna szczoteczka. No i kłapa sedesu była opuszczona. Czy Monica spotykała się z kimś?

— Zdecydowanie nie. Mówiła, że przez swoją pracę ma dosyć facetów.

— A miała jakichś innych znajomych, od których mogłabym uzyskać jakieś informacje?

— Czasami wspominała o rozmowach z koleżankami z pracy, ale nie spotykała się z nimi w czasie wolnym.

— A te wyjazdy na kilka dni? Nie mówiła nic o osobach, z którymi spędzała weekendy?

— Twierdziła, że to wyjazdy służbowe.

— Hm, a nie wspominała miejsc, do których się udawała?

— Nie, ale nigdy nie latała tam samolotem, więc raczej nie opuszczała Kalifornii. — Stephanie przygryzła krótki paznokieć. — Sądzisz, że coś mogło jej się stać?

— Mam nadzieję, że nie, ale... — Nie potrafiła powiedzieć tego na głos.

— Czy powinnam zawiadomić policję? — przestraszyła się Stephanie.

— Jeśli do wieczora się nie pojawi, musisz to zrobić. Podam ci też swój numer telefonu. Gdyby jednak wróciła, natychmiast do mnie zadzwoń.

— Dobrze.

Stephanie została jeszcze chwilę w mieszkaniu Moniki, by podlać kwiaty. Michelle wyszła na korytarz, zastanawiając się nad dalszymi krokami. „Poszukam w bankach i innych firmach, których pracownicy posiadają te chipy behawioralne. Może mi się poszczęści. Jeśli nie...”. Nie zdążyła dokończyć myśli, gdy drzwi mieszkania numer dwadzieścia otwarty się i stanęła w nich ruda kobieta, która wcześniej wróciła z zakupami.

— Więc jest pani dziennikarką.

„Więc podsłuchuje pani cudze rozmowy” — zauważyła Michelle, lecz nie powiedziała tego na głos. Ciekawość/wścibskość sąsiadki Moniki mogła jej pomóc odszukać przyjaciółkę.

— Tak. Czy wie pani coś o Monice, co pomogłoby mi ją odnaleźć? Obawiam się, że mogła się wpakować w jakieś kłopoty.

— A czy dziennikarze nie mają jakichś informatorów, którym płacą?

— Niektórym płacimy, niektórym nie. Ale ja mieszkam w Seattle. Nikogo tu nie mam. Więc wie pani coś?

— A ile zwykle płacicie takim informatorom?

„Oho, już widzę, dokąd zmierza ta rozmowa”. Michelle miała dwa wyjścia: albo zapłacić kobiecie za jej wiedzę, albo postraszyć ją policją — zachowywanie dla siebie podobnych informacji było przecież utrudnianiem śledztwa. Tylko że śledztwo na razie nawet się nie rozpoczęło, a ona nie była policjantką.

— To zależy od wartości posiadanych informacji — podjęła grę.

— Moje okna wychodzą na ulicę, a tej Stephanie z naprzeciwka nie. Być może wiem, kto przyjeżdżał po Monicę i odwoził ją po pracy.

„To znacznie przyspieszyłoby moje poszukiwania”. Michelle wyciągnęła telefon.

— Ile?

Ruda sięgnęła po coś na stojący przy drzwiach stolik. Podała Michelle kwit z lombardu.

— Chcę odzyskać moją wartość.

Zastawiona biżuteria warta była blisko pięćset deków. Drogo, ale jeśli chodziło o bezpieczeństwo Moniki, cena nie grała roli.

— Ten lombard to gdzieś blisko?

Stephanie wyszła z mieszkania Moniki. Zamknąwszy drzwi i posławszy Michelle słaby uśmiech, weszła do swojego apartamentu.

— Trzy przecznicę stąd — odparła ruda ściszym głosem, zapewne podejrzewając sąsiadkę o to, czym sama się zajmowała.

— Za kwadrans będę z powrotem — obiecała Michelle.

— Zaraz muszę wyjść do pracy, spotkajmy się wieczorem.

— A może mogłybyśmy pojechać teraz do tego lombardu? Potem podwiozłam panią do pracy — zaproponowała Michelle, nie chcąc czekać tak długo.

Kobieta zawahała się chwilę.

— Nie. Spotkajmy się wieczorem.

— Proszę, obawiam się, że Monica może być w niebezpieczeństwie. Czy nie mogłybyśmy...?

— Wieczorem albo zabieram kwit — stwierdziła wrogim nagle tonem sąsiadka Moniki.

— Dobrze, dobrze — rzekła uspokajająco Michelle. — O której mogę pojechać?

— O dwudziestej trzeciej. Ale nie tu. Niedaleko tego lombardu znajduje się supermarket. Naprzeciwko niego jest taka alejka między dwoma ulicami. Tam się spotkajmy.

Michelle zdziwiła się na tak niecodzienne miejsce do rozmowy, ale nie chcąc antagonizować rozmówczyni, nie protestowała.

— W porządku. Zatem widzimy się o dwudziestej trzeciej.